



S O F I A  
**CASPARI**

w krainie  
wodospadów

waleczne kobiety  
argentyńskie pejzaże  
ukryte pragnienia





S O F I A  
**CASPARI**

w krainie  
wodospadów

tłumaczenie

PAULINA FILIPPI-LECHOWSKA



**OTWARTE**

KRAKÓW 2016

Tytuł oryginału: *Das Lied des Wasserfalls*

Copyright © 2014 by Bastei Lübbe AG, Köln

Copyright © for the translation by Paulina Filippi-Lechowska

Opieka redakcyjna: Kinga Kasperek

Opracowanie typograficzne książki: Robert Oleś

Adiustacja: Marta Höffner / d2d.pl

Korekta: Anna Brynkus-Weber / d2d.pl,

Magdalena Kędzierska-Zaporowska / d2d.pl

Łamanie: Małgorzata Poździk / d2d.pl

Projekt okładki: Eliza Luty

Fotografie na okładce: kwiaty – © iStockphoto.com / Ateli, koliber –

© Rosalie Kreulen / Shutterstock.com, litografia z 1882 r. przedstawiająca

dworzec kolejowy w Buenos Aires – © iStockphoto.com / Grafissimo

Rysunek kolibra na podstawie zdjęcia z Shutterstock.com –

© Rosalie Kreulen/Shutterstock.com

ISBN 978-83-7515-347-7



OTWARTE

[www.otwarte.eu](http://www.otwarte.eu)

Zamówienia: Dział Handlowy, ul. Kościuszki 37, 30-105 Kraków, tel. 12 61 99 569

Zapraszamy do księgarni internetowej Wydawnictwa Znak, w której można kupić książki

Wydawnictwa Otwartego: [www.znak.com.pl](http://www.znak.com.pl)

*Julianowi i Tobiasowi –  
nasza podróż wciąż trwa...*

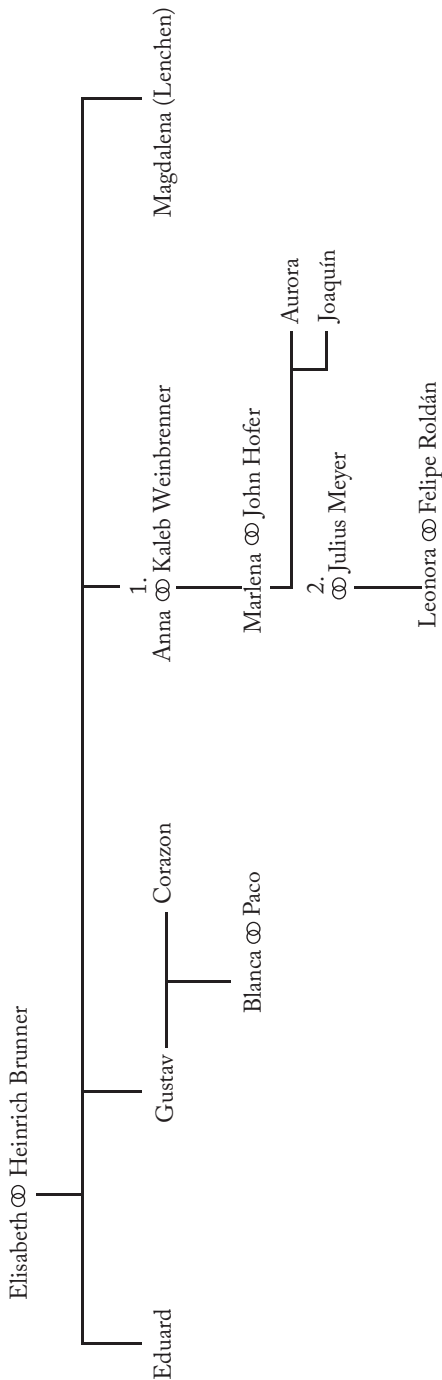
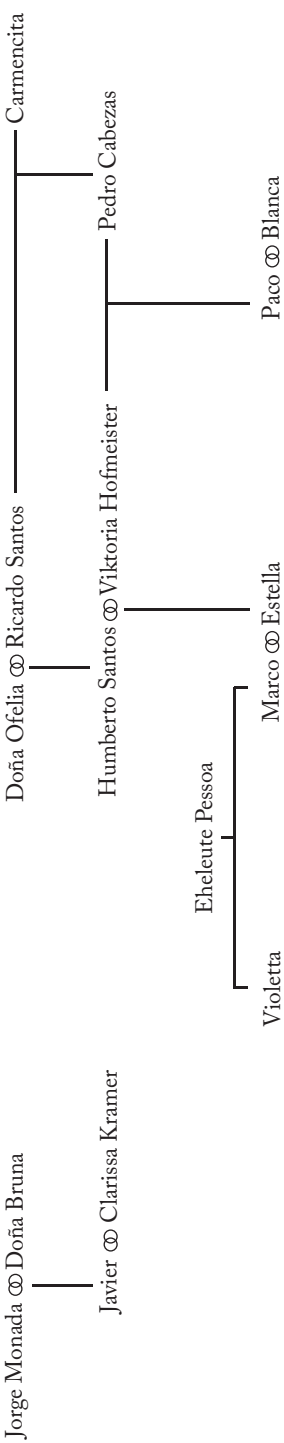


Przeznaczeniem Buenos Aires jest stać się  
Paryżem Ameryki Południowej...

José Luro

Tango jest powietrzem, życiem, miłością  
lub smutkiem. Tango jest wszystkim.

Carlos Matheos





CZĘŚĆ PIERWSZA

## *Cambio de vida* – odmiana

Iguazú, Parana, Villa Veinticinco de Mayo, Santa Ana,  
Buenos Aires, Los Aboreros, pokład statku Britannia

1898–1899



*Nad wodospadem Iguazú*

Clarissa nie wiedziała, jak długo wytrwała zanurzona po pas w wodzie. Kurczowo uczepiła się zwisających gałęzi jakiegoś drzewa, jednak miała coraz mniej sił. Walczyła z całej mocy, ale nie mogła już dłużej wytrzymać. Wiedziała, że zaraz nastąpi koniec. Puści gałąź, a rzeka porwie ją w swoje odmęty i już nie wypuści.

Zamknęła oczy. Pod powiekami pojawiły się te straszne sceny, których nigdy nie zapomni: wycieczka nad wodospad z Javierem, obcy mężczyźni, którzy zjawili się tak niespodziewanie i zaczęli do niej strzelać, ale trafili Javiera.

Nie umiała powiedzieć, jak znalazła się w rzece, pamiętała tylko, że porwał ją silny nurt Iguazú. Potem udało się jej chwycić tych gałęzi. Zniosła się szlochom, lecz zagłuszył go łoskot opadającej wody.

„Javier zginął... Jaki sens ma dalsze życie? Lepiej puścić gałęzie”.

W głębi serca czuła, że chce podążyć za Javierem, ale jej ciało wciąż się wzbierało, zdradzało ją, z całych sił walczyło o przetrwanie.

Pomyślała, że długo tak nie wytrzyma...

Zanim przebrzmiała ta myśl, palce Clarissy ześlizgnęły się z gałęzi. Znalazła się pod wodą, ale po chwili, zachłystując

się i rozpaczliwie machając rękami, zdołała się wynurzyć. Rzeka bezlitośnie zabrała ją ze sobą niczym źdźbło trawy.

„Dlaczego mnie nie trafili? Dlaczego jeszcze jestem na tym świecie? Chcę być razem z Javierem”.

Jednak wciąż utrzymywała się na powierzchni. Dobrze pływała. Może to przekleństwo...

Obróciła się na plecy i dostrzegła błękitne pasmo nieba ponad kopułą z liści, które mieniły się najrozmaitszymi odcieniami zieleni. Zielony, zielony, zielony – we wszystkich odmianach. Promienie słońca przepuszczone przez zielony filtr.

„Co się stanie z rodzicami? Czy kiedykolwiek jeszcze ich zobaczę?”

Nagle jakiś wir zakręcił nią i wciągnął pod wodę. Zaczęła machać rękami i nogami. W końcu wynurzyła się na powierzchnię, rozpaczliwie łapiąc powietrze, kaszląc i plując. Pomyślała o krwi, którą była wybrudzona, krwi Javiera.

Jutro obchodziliby rocznicę ślubu. To był trudny okres, ale też szczęśliwy.

Woda znów zalała twarz Clarissy. Dziewczyna zaczęła płuć i kasłać. Była kompletnie wyczerpana, myślenie przychodziło jej z coraz większym trudem.

Uśmiech Javiera... jego ciepło. Mocne objęcia jego ramion... Przepadło, na zawsze przepadło.

Nagle pod stopami wyczuła stały grunt. Dno, muliste, usiane kamieniami. Zapach butwiejących liści, delikatne muśnięcie, szybsze niż tchnienie. Ryby? Ale jakie? W tym momencie zauważyła, że prąd zniósł ją na brzeg. Rzeka wypuściła ją ze swoich odmetów.

„Gdzie jestem?”

Zamknęła oczy. Skarpa... Trzeba się na nią wdrapać, a ona była taka zmęczona. Myśli wirowały w jej głowie niczym stado dzikich ptaków, przeszłość mieszała się z teraźniejszością: Javier,

twarze rodziców, don Jorge, praca na rodzinnym ranczu w prowincji Entre Ríos. Strzały, które przecinały wodę wokół niej.

Chcę żyć.

Jeszcze raz zebrała wszystkie siły i podczołgała się w górę skarpy, lecz po chwili głowa opadła jej na pierś. W wodzie zostały już tylko stopy. Clarissa poczuła zaduch stęchlizny i wilgoci, dobrze znaną woń życia i śmierci. Z wysiłkiem odwróciła głowę, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza. Wszystko stało się takie ciężkie. Przyłgnęła policzkiem do mułu. Tuż obok rosły olbrzymie drzewa, dobiegające ją dźwięki się przenikały – szum wody, świergot ptaków, wrzask małp. Sam środek dżungli otaczającej wodospad Iguazú...

Patrzyła na połyskujące ciemnym blaskiem krople wody na liściach, zobaczyła pająki i inne stworzenia, rozpoznała nawet maleńką jaskrawo ubarwioną żabkę. Upał w lesie deszczowym wydawał się tak przytłaczający, tak wszechogarniający. Woda na jej skórze mieszała się z potem. Dobrze знаła ten żar, zawsze uciekała przed nim do domu. Jak szybko człowiek przywyka do takich niedogodności?

„Chcę spać – przemknęło jej przez głowę – spać... Jestem taka wyczerpana, tak strasznie, tak potwornie zmęczona”.

Znów usłyszała jakiś szelest. Coś prawie bezgłośnie skradało się przez zarośla. Clarissa ostatkiem sił uniosła się na rękach i dostrzegła jakiś cętkowany kształt, doskonale wtapiający się w otoczenie. Bursztynowe kocie oczy i ten zapach, który – co teraz sobie uświadomiła – wypełnił powietrze, zanim jaguar wyłonił się z dżungli.

\*

Robert Metzler kierował swoim wążem Srebrnym Lisem tylko udami, bo jednocześnie próbował otworzyć blaszaną puszkę, którą jego matka Elsbeth włożyła mu do sakwy, żeby na bieżąco

napelniał ją świeżym prowiantem. Postanowił, że się posili, nie zsiadając z konia. Nie chciał tracić cennego czasu. Wkrótce powinien dotrzeć do Rosario, gdzie prowadził cieszący się sporym powodzeniem gabinet lekarski.

Z rancza swoich rodziców wyjechał wczesnym rankiem cztery dni temu. Już niewiele dzieliło go od celu, ale w tych okolicach nigdy nie było wiadomo, w jakim stanie są drogi. Poprzednią noc spędził w znajomej *pulperia*, czyli połączeniu gospody i sklepu, powszechnie spotykanym w Argentynie. W tej była nawet dodatkowa sala z kilkoma łózkami. Cieszył się na tę małą przygodę. Przynajmniej raz w roku wyjeżdżał na parę tygodni do puszczy, w przygraniczne rejony między Paragwajem, Argentyną i Brazylią, żeby badać tamtejsze faunę i florę.

Na moment przestał mocować się z puszką i wbił wzrok w jednego z niezliczonych barwnych motyli trzepoczącego skrzydłami w ciężkim wilgotnym powietrzu. Promienie słońca przenikające przez sklepienie z liści rzuciły refleksy na jasnobrązową czuprynę mężczyzny. Robert zmrużył oczy, przyglądając się temu wyjątkowo pięknemu okazowi motyla morpho. Metaliczne, intensywne błękitne ubarwienie owada przypominało mu rozedrgany kawałek nieba.

Rozejrzał się, omiatając wzrokiem dżunglę po obu stronach błotnistej drogi. Rosły tam gęste paprocie i bromelie o różnobarwnych kwiatostanach, a nad nimi rozpościerały się korony ogromnych drzew. Na wysokich bocznych korzeniach tych olbrzymów wiły się rozmaite pnącza. Tu i ówdzie strzelały w górę cekropie i parocje, nazywane też żelaznymi drzewami. Jesienią ich ciemnozielone liście przebarwiały się od płomiennego pomarańcza po fiolet. Obok rosły storczykowce i lapacho, czyli drzewa życia, od maja do sierpnia, zależnie od gatunku, obsypane różowymi, żółtymi lub białymi kwiatami. Gdzieś z oddali dobiegły

odgłosy wydawane przez wyjce. Chyba coś je wystraszyło, bo o tej porze dnia zazwyczaj drzemały.

Pewnie jedna z małp dostrzegła gdzieś w pobliżu drapieżnego kota. W tej okolicy żyło kilka gatunków. Robert miał okazję zobaczyć jaguara, pumę oraz oceloty. Pokazał mu je Jacy, jego przyjaciel pochodzący z indiańskiego plemienia Guarani, które mieszkało na pograniczu. Jacy i Robert razem dorastali. Krewni Indianina pomogli rodzinie Roberta w pierwszym okresie po przyjeździe do Nowego Świata. Robert bardzo lubił wspominać tamte lata. Za każdym razem, kiedy uciekał od brudu i smrodu Rosario, czuł się wolny – jak wtedy, gdy wspólnie z Jacym włączyli się po lasach otaczających jego dom rodzinny.

Robert usłyszał jakiś szelest. W zielonej gęstwinie dostrzegł jasną sierść, ryjkowaty pyszczek i długi prążkowany ogon ostronosa. Obserwował zwierzątko przez chwilę, a potem wrócił do otwierania puszek, która wreszcie ustąpiła. W środku były chleb kupiony w *pulperia* i ostatni kawałeczek wędzonej kiełbasy zabranej z domu oraz paczuszka yerba mate, której cierpki i szczerze dosładzany napar tak chętnie pijano w Argentynie. Robert zamierzał go sobie przyrządzić wieczorem przy ognisku – uwielbiał ten rytuał i cieszył się nim nawet wtedy, gdy był sam. Zawsze miał ze sobą calabazę, czyli gruszkowatą tykwę, z której piło się napar, oraz bombillę, służącą do picia metalową rurkę zakończoną siteczkiem.

Uśmiechnął się. Było mu trochę przykro, że tego dnia spałaszuje resztki swojego prowiantu. Matka opiekowała się nim niczym kwoka, kiedy odwiedzał rodziców w Villa Veinticinco de Mayo, co – jak zawsze powtarzała – zdarzało się zbyt rzadko.

– Z Rosario to spory kawał – odpowiadał wtedy i dodawał z uśmiechem: – Jestem u was tak często, jak tylko mogę.

– A jak twoja praktyka? – W takim momencie ojciec decydował się na zmianę tematu.

On także tęsknił za synem. Potrzebował również pomocy, więc teraz, w najpracowitszych miesiącach musiał najmować parobka. Ale Carl Metzler nie lubił o tym rozmawiać.

– Dobrze, świetnie – odpowiadał Robert, a rodzice wpatrywali się w niego jak w obrazek.

Wiedział, że oboje są bardzo dumni, że ich syn został lekarzem i ma swoją praktykę w Rosario. Ich chłopiec, dziecko prostych rolników. Nikomu z rodziny Metzlerów nawet przez myśl nie przeszło, że jeden z ich krewnych wyuczy się na medyka. Robert uchodził za sympatycznego i zdolnego lekarza. Niektórzy twierdzili, że damy z Rosario niezwykle chętnie chodzą do gabinetu doktora Metzlera. Jednak on sam zbywał podobne uwagi śmiechem i w ogóle się nad tym nie zastanawiał.

Zabrana z domu kiełbasa pachniała tak smakowicie. Ten jedyny w swoim rodzaju aromat przywołał obrazy z dzieciństwa. Robert jadł ją z apetytem, ale powoli i z namaszczeniem. Od małego był przyzwyczajony do ograniczeń i dziś też nie potrzebował wiele do życia, co napawało go dumą. Jego rodzice uprawiali tytoń i warzywa na własny użytek. Dorabiali, zbierając liście i łodyżki ostrokrzewu, który rósł dziko w okolicznych lasach. To właśnie z niego powstawała yerba mate. Robert myślał o tych wszystkich urządzeniach do przeróbki i pakowania zbiorów, które z czasem pojawiły się w Villa Veinticinco de Mayo. Ta mała osada wciąż się rozwijała.

Zadumał się i nieśpiesznie żuł swój posiłek. Resztkę jedzenia odłożył do puszki, którą schował do sakwy. Już cieszył się na spotkanie z Jacym. Jak zwykle zostawi konia przy jego chacie i pieszo ruszy w głąb dżungli. Bez konia jest o wiele wygodniej. Zamysłony, zapatrzył się w dal. To dziwne, że na pomysł szukania



roślin leczniczych w dżungli w Misiones wpadł dopiero wtedy, gdy otworzył swój gabinet. Oczywiście to Jacy uświadomił mu, ile skarbów można znaleźć na tym tajemniczym obszarze: liście, które zwalczają mdłości, kora działająca przeciwgorączkowo, zioła na kaszel i mnóstwo innych. Robert eksperymentował już nawet z *uña de gato*, kocim pazurem, znanym też jako *vilcacora*, który znakomicie łagodził cierpienia starszych panów zmuszonych do częstych wizyt w toalecie. Receptura tego specyfiku była przekazywana w rodzinie Jacy'ego z pokolenia na pokolenie, podobnie jak przepis na syrop przeciwkaszlowy, przygotowywany z *caraguata*, podobnej do ananasa, ale bardzo kolczastej odmiany bromelii, oraz liści drzewa *ambay*. Robert od dawna stosował też epazote, czyli pięknie pachnącą komosę piżmową, która skutecznie zwalczała pasożyty.

W młodości niezbyt interesowały go te sprawy. Ogromne bogactwo puszczy odkrył dopiero jako dwudziestodwuletniak, przy czym zafascynowało go coś więcej, nie tylko wielość żyjących tam zwierząt, *yerba mate* czy różnorodność odmian drewna, po które nader chętnie sięgali biali.

Dotarł do chaty Jacy'ego i zostawił tam Srebrnego Lisa. Przyjaciel chyba wyruszył wcześniej, więc Robert z żalem poszedł dalej sam.

Dotarł już prawie do celu, czyli pod drzewo, o którym pisał mu w liście Jacy, gdy usłyszał jakiś niepokojący dźwięk, zupełnie niepasujący do odgłosów puszczy. To był raczej krzyk człowieka, przepełnione trwogą wołanie.

Nie wahał się ani chwili. Nasłuchiwał przez moment, czy krzyk się powtórzy, po czym ruszył w kierunku rzeki. Był pewien, że to właśnie stamtąd dobiegł ten dźwięk, i miał nadzieję, że uda mu się dotrzeć do tego, kto go wydał. Nie na darmo tę część dżungli nazywano *El Impenetrable*, nieprzebytą.

Jeśli ktoś się tu zgubił, miał nikłe szanse na odnalezienie drogi powrotnej.

Ta ostatnia myśl kazała mu przyśpieszyć, co nie było łatwe wśród dzikiej zieleni. Wszędzie leżały powalone drzewa, a korzenie chwyciły Roberta za kostki niczym dłonie z długimi rozcapierzonymi palcami. W kilku miejscach musiał wyciąć sobie ścieżkę maczetą.

Gdy dotarł nad rzekę, zamarł. Po drugiej stronie wąskiej w tym miejscu odnogi Iguazú leżała jakaś nieruchoma postać. Nad nią przyczał się jaguar, który teraz wlepił swoje czujne kocie oczy w intruza.

Robert postanowił działać. Wiedział, że rzeka w tym miejscu nie jest głęboka, woda sięgnie mu najwyżej do bioder. Błyskawicznie zrzucił z pleców bagaż i z rykiem rzucił się w kierunku drapieźnika. Zwierzę spłoszyło się i odeszło od swojej zdobyczy na kilka kroków, po czym przystanęło z wahaniem.

Robert czuł, że buzuje w nim adrenalina. Znów podniósł ręce i ryknął. Kot zasyczał z irytacją, ale na szczęście się odwrócił i po chwili cichutko zniknął w zaroślach.

Przez chwilę Robert spoglądał w tamtą stronę, aby się upewnić, że drapieźnik nie wróci, po czym ukląkł przy leżącej postaci. Tak, to była młoda kobieta. Leżała na boku z policzkiem w szlamie. Miała zamknięte oczy i cała była przemoczona. Kilka mokrych kosmyków opadło na jej twarz – piękną, choć teraz bardzo brudną. Robert ocenił, że może mieć około dwudziestu lat.

Dostrzegł plamy na jej bluzce i się przestraszył. To krew? Czy jaguar ją zranił? Przybył za późno? Pochylił się nad jej twarzą. Nie, kobieta oddychała spokojnie, ale rzeczywiście płytko. Musiała krzyknąć, a potem na widok jaguara straciła przytomność.

Robert ostrożnie obrócił nieznajomą na plecy. Jej powieki lekko zadrgały, lecz nie otworzyła oczu. Sprawdził puls, który

na szczęście był miarowy. Poszukał odpowiedniego miejsca, żeby przygotować posłanie z wielkich liści. Kiedy ją podnosił, z bolesnym westchnieniem odwróciła głowę w stronę jego piersi. To był jedyny dźwięk, jaki wydała z siebie w ciągu następnej godziny.

\*

Robert miał wrażenie, że nieznajoma przygląda mu się ukradkiem już od dłuższego czasu, ale nie dał nic po sobie poznać. Jej omdlenie nie było głębokie. Szybko dochodziła do siebie. Nie chciał zostawiać jej samej, więc zerwał to, co rosło w zasięgu ręki: „rajskie orzechy”, jak nazywano czasznię małpią, kilka owoców rauwolfii i ułożył to wszystko, łącznie z resztką swoich zapasów, na okrągłych liściach. W pewnym momencie nieznajoma spojrziała na niego, już się z tym nie kryjąc, a wtedy i on skorzystał z okazji, żeby na nią popatrzeć. Odchrząknął i powiedział po hiszpańsku:

– Dzień dobry, jestem Robert Metzler. Jak się pani czuje, señorita?

Wąskimi dłońmi wygładziła ubranie i dotknęła włosów oraz pobrudzonej mułem twarzy.

– Nie... nie wiem – odparła niepewnie.

Na chwilę oderwała od niego wzrok i się rozejrzała. Nie wyglądała na zaskoczoną, raczej na zagubioną. Potem znów na niego popatrzyła.

– Jak się pani nazywa? – zapytał Robert. – Jak się tu pani znalazła?

– Jestem... Clarissa... – wyjąkała. – Nazywam się Clarissa Kra... Kramer i... Sama nie wiem, jak tu trafiłam. – Ponownie omiotła wzorkiem okolicę i chyba dotarło do niej, gdzie się znajduje. – Nie, nie wiem... Naprawdę nie wiem. Gdzie ja jestem? Na litość boską, jak się tu znalazłam?

– Jest pani w dżungli na terenie Misiones, na pograniczu Argentyny i Brazylii – odpowiedział Robert.

Rozmowa wydała mu się dziwna, choć nie miał pojęcia dlaczego. Doszedł do wniosku, że Clarissa na pewno nie pochodzi z jednej z pobliskich osad. Ale jeśli nie jest stąd, to jak się tu znalazła? Dlaczego tu trafiła? Samotna kobieta, która nawet nie wiedziała, jak dostała się w sam środek dżungli... Nigdzie nie było widać żadnej łodzi. Czy dotarła tu wpław? Nie umiał odpowiedzieć na żadne z tych pytań.

Zmierzył kobietę przenikliwym spojrzeniem. Rzeczywiście była ładna i, jak to już wcześniej zauważył, miała na sobie dobrą jakościowo, praktyczną odzież, w sam raz na wycieczkę po dżungli. Ale chyba nie wyruszyła na nią sama? Co się stało z jej towarzyszami?

A może się myli? W obecnych czasach pełno było dziwów, w tym kobiety podróżujące samotnie po całym globie. Nie wiedział, co o tym wszystkim myśleć, ale nie chciał też wyciągać nazbyt pochopnych wniosków.

Znow chrząknął.

– No cóż, w każdym razie chyba nie jest pani ranna. Mam nadzieję, że mi pani wybaczy, musiałem się o tym przekonać. Zaniepokoiła mnie krew na pani bluzce.

– Krew?

W jednej chwili zrobiła się biała jak ściana.

– Tak, krew – potwierdził Robert. – Z kim pani wyruszyła? Czy pani towarzyszom coś się stało? Czy zaatakował ich drapieżnik?

Kobieta zaczęła błędzić wzrokiem. Jej usta się poruszały, a Robertowi wydało się nawet, że na moment wszystko sobie przypomniała, lecz nie doczekał się odpowiedzi.

Nie chciał jej naciskać. Nawet jeśli naprawdę nic nie pamiętała, to z całą pewnością była bardzo przestraszona.

– Jestem lekarzem – wyjaśnił przeproszającym tonem. – Dla tego panią zbadałem... Proszę nie myśleć, że...

Urwał, gdy znów na niego popatrzyła. Jej spojrzenie było przepełnione smutkiem, którego nie potrafił wyjaśnić.

– Rozumiem – powiedziała powoli, jak gdyby każde słowo przychodziło jej z trudem. – Oczywiście, rozumiem. Naprawdę jestem bardzo wdzięczna. Gdyby nie pan... nie wiem, co by się stało, naprawdę... – Utkwiła wzrok w oddali i głęboko odechnęła. – Jak się tu znalazłam?

Posilili się nieco owocami i orzechami oraz chlebem i kiełbasą, a potem ruszyli w drogę. Robert dowiedział się, że Clarissa Kramer mówi po niemiecku – w tych czasach nie wszystkie osoby noszące niemiecko brzmiące nazwisko musiały znać ten język. Wędrówka do chaty Jacy'ego trwała dwa razy dłużej, niż gdyby Robert szedł sam, bo Clarissie przeszkadzała długa spódnica. Nie była też chyba przyzwyczajona do tak forsownych marszów. Pod koniec oparła się na ramieniu Roberta, a on szybko poczuł pot ciekący mu po plecach. Od czasu do czasu musiał też ocierać słone krople kapiące z czoła.

\*

Kiedy wreszcie wyszli z dżungli, Robert poczuł ulgę, Clarissa była zaś bardzo zmęczona. Teraz wystarczyło tylko pokonać łąkę i obejść ogród. Srebrny Lis, który paś się przy drodze, zarżał na widok swojego pana. Zza chaty Jacy'ego unosił się dym. Pewnie Indianin pichcił coś w kuchni na wolnym powietrzu.

„Dzięki Bogu, że już wrócił”, przeszło Robertowi przez głowę. Koń znów zarżał i tym razem wywołał Jacy'ego, który wyłonił się zza chaty i znieruchomiał z wyrazem osłupienia na twarzy.

– Robert... – Powitał przyjaciela skinieniem i z zainteresowaniem popatrzył na towarzyszącą mu kobietę.

– To Clarissa Kramer – przedstawił ją Robert. – Señorita Kramer, to mój dobry przyjaciel Jacy.

Poczuł, że dopiero gdy wypowiedział te słowa, Clarissa odechnęła. Zastanawiał się, co ją tak przerażało. Wyraźnie wyczuwał jej lęk, który podczas przeprawy przez dżunglę jeszcze się spotęgował. Czyżby coś sobie przypominała? Może już wiedziała, co się wydarzyło?

– Dzień dobry, señorita Kramer – powiedział przyjaźnie młody Indianin.

– Znalazłem pannę Kramer nad rzeką – wyjaśnił Robert. – Nie wie, jak się tam znalazła. Ona...

– Hmm... – Jacy przyjrzał się jej uważnie, ale zaraz odwrócił wzrok, żeby nie wprawiać jej w zakłopotanie.

– Może miałbyś jakiś płaszcz albo koszulę? – zapytał Robert. – Bluzka señority Kramer jest...

– Taaak... – Jacy zmarszczył czoło. – Oczywiście, mam jakąś koszulę, wodę do umycia, no i jedzenie. Powinniście tu przenoćować. Już za późno, żeby jechać do twoich rodziców.

Robert skinął głową z wdzięcznością.

– Masz rację. Rzeczywiście już za późno. Dzięki.

Jacy uznał, że jego przyjaciel zamierza niezwłocznie zawieźć tę młodą kobietę do swoich rodziców. Ta zdolność odgadywania cudzych myśli już dawno przestała dziwić Roberta.

Indianin zamruczał coś jeszcze pod nosem, po czym zniknął w głębi chaty. Wrócił, niosąc w rękach prostą koszulę. Clarissa szybko poszła się przebrać. Gdy szli do chaty Jacy'ego, jej spódnica zdążyła nieco przeschnąć, ale bluzki nie uda się tak szybko wycisnąć, plam z krwi pewnie w ogóle nie uda się sprać.

Tymczasem Robert poszedł za Jacym w kierunku ogniska rozpalonego za chatą. Jedzenie – potrawa z ryżu i fasoli – było już gotowe i na pewno starczy go dla wszystkich. Należało tylko

dostawić dwa dodatkowe nakrycia. Młoda kobieta dołączyła do nich tak szybko, że nawet nie zdążyli o niej porozmawiać.

Clarissa zjadła niewiele, a potem położyła się w hamaku, który Jacy dla niej przygotował. Kiedy Robert przyszedł sprawdzić, czy wszystko w porządku, już spała. Stał przez chwilę i wpatrywał się w jej twarz, długie rzęsy, gładkie platynowe włosy. Była ładna. Wcześniej wzbraniał się przed tą myślą, ale coś go przyciągało do tej nieznanym. Skąd się wzięła w samym środku dżungli? I co się tam wydarzyło? Miał nadzieję, że wkrótce się tego dowie.

Z trudem oderwał od niej wzrok i wrócił do Jacy'ego. Siedzieli przed chatą i w milczeniu pili yerba mate. Co jakiś czas Robert dolewał do tykwy gorącej wody, a potem zgodnie ze zwyczajem pili na przemian przez bombillę.

– Znalazłeś ją nad rzeką? – odezwał się w końcu Jacy.

Wyrwany z zamyślenia Robert aż podskoczył.

– Tak.

Przez chwilę Jacy obracał tykwę w dłoniach, po czym zapytał:

– Czy w pobliżu był ktoś jeszcze?

– Nie, oczywiście, że nie. Gdyby było inaczej, tobym jej tu nie przyprowadził.

Jacy przekazał naczynie Robertowi, ale ten nie chciał już pić.

– Najpierw usłyszałem jej głos. Krzyknęła, chyba ze strachu. Tak przynajmniej mi się wydaje. Pobiegłem i... – Pokręcił głową. – Kiedy tam dotarłem, stał nad nią jaguar. Na pewno już czuła jego oddech. – Wzdrygnął się na samo wspomnienie tego widoku. – Przegnałem go. Była nieprzytomna. Sam nie wiem, jak długo.

Zamilkł i sięgnął po bombillę.

– Widziałeś jej ubranie? – zapytał Jacy'ego.

– Tak.

– To na pewno nie jest zbieraczka *mate* – ciągnął Robert. – I raczej nie pochodzi z jednej z sąsiednich osad. Żadna nie leży na

tyle blisko, żeby ta kobieta mogła się po prostu zgubić. A już na pewno nie pochodzi z żadnego obozowiska drwali, bo tamtejsze kobiety są o wiele pospolitsze...

Jacy skwitował jego ostatnie słowa uśmiechem.

– Jak to prostytutki – rzucił.

– Inne miejscowości czy miasta są tym bardziej za daleko – mówił Robert. – A...

– Może wybrała się na wycieczkę nad wodospad? – zauważył Jacy.

Okolice wodospadu Iguazú po raz pierwszy umieszczono na mapach w 1892 roku. Tym samym ponownie wyłoniły się z mroku zapomnienia. Pierwszym Europejczykiem, który tu dotarł, był hiszpański konkwistador Álvar Núñez Cabeza de Vaca. W 1541 roku szukał na tych terenach owianego tajemnicą królestwa Inków. Cabeza de Vaca ochrzcił grzmiące wodospady mianem Salto de Santa Maria. Nazwa Iguazú wywodziła się z języka guarani: „y” znaczy „woda”, a „guasú” – „wielka”.

– Wycieczkę nad wodospad? – Robert pokręcił głową, ale Jacy upierał się przy swoim.

– Dla mnie to jedyna możliwość, jeśli odrzuci się inne wersje. Była nad wodospadem i to raczej nie sama. Kto zatem mógł jej towarzyszyć i co się z nim stało? Ta krew na jej bluzce... Będziesz musiał się tego dowiedzieć, skoro ci na niej zależy...

– Zależy?

Jacy tylko się uśmiechnął, a Robert spojrział w dal. Coś mu mówiło, że przyjaciel ma rację. Clarissa Kramer nie mogła być sama. Gdzie zatem podział się jej towarzysz? Albo towarzysze? I dlaczego nic o nich nie wspomniała? Czy zaatakowało ich jakieś zwierzę? A może spadła ze skały? Co widziała? Albo: co zrobiła? Nie, o tym ostatnim nie chciał nawet myśleć.

Z westchnieniem odstawił calabazę na stół.



– Dowiem się tego, przyjacielu.

Jacy spojrzał na niego z powagą.

– Mam nadzieję, że zachowasz ostrożność.

Robert zmrużył oczy.

– Dlaczego to powiedziałeś?

Jacy nie zdążył nic odrzec, bo za ich plecami coś zaszeleściło. Spojrzeli na siebie.

– Czy to były kroki? – zapytał Robert.

– Nie wiem – odparł wyraźnie stropiony Jacy. – Nie zwróciłem uwagi. Za bardzo byłem pochłonięty naszą rozmową.

Robert wstał.

– Lepiej się rozejrzę.

W chacie zapanowała ciemność i dopiero po chwili oczy Roberta przywykły do mroku. Clarissa leżała na delikatnie kołyszącym się hamaku. Czy to wiatr nim poruszał? A może kobieta spała niespokojnie, bo nie była przyzwyczajona do takiego posłania? Oczy miała zamknięte. Robert odwrócił się i wyszedł z pomieszczenia.

\*

Clarissa zorientowała się, że wstrzymywała oddech, dopiero gdy zabrakło jej tchu. Udało jej się wskoczyć do hamaka niemal w ostatniej chwili, zanim Robert Metzler wszedł do środka. Kim jest ten człowiek, który znalazł ją w środku dżungli i zabrał ze sobą? Na początku była mu wdzięczna, ale czy mogła mu zaufać? Przecież nic nie wiedziała ani o nim, ani o tym Jacym. Jednak teraz była zdana na nich całkowicie.

## ROZDZIAŁ 2

Rankiem następnego dnia Robert i Clarissa przygotowywali się do wyjazdu. Mieli nadzieję, że dotrą do rancza Metzlerów w ciągu tygodnia. Po szybkim śniadaniu złożonym z kaszy kukurydzianej i yerba mate Robert załadował bagaże na wóz, który musiał oddać pewnemu kuzynowi znad Parany. W ten sposób mieli pokonać pierwszy odcinek podróży. Srebrny Lis jak zwykle niechętnie dał się zaprząć. Jednak podróż we dwójkę na jednym koniu zabrałaby zbyt dużo czasu.

Kiedy razem z Jacym zaprzęgali wałacha do wozu, Robert starał się go uspokajać, przemawiając do niego łagodnym głosem, ale zwierzę wciąż tańczyło w miejscu, nerwowo potrzęsało łbem i próbowało dać susa w bok. Jacy dał im dwa koce, które Clarissa rozścieliła na wozie.

Przyjaciele objęli się na pożegnanie.

– Uważaj na siebie i wracaj szybko – powiedział Jacy. – No i pozdrów ode mnie swojego ojca Guaraciabę.

– Oczywiście. – Robert się uśmiechnął.

Guaraciaba, włosy słońca, takie imię Indianie Guarani nadali Carlowi, dziś siwemu, ale dawniej złotowłosemu ojcu Roberta.

Jacy zwrócił się też do Clarissy:

– Pani również życzę wszystkiego dobrego, señorita. Mam nadzieję, że wkrótce przypomni sobie pani, co się stało, i odnajdzie pani swoich bliskich.

– Dziękuję... – odpowiedziała zdawkowo Clarissa, choć sprawiała wrażenie, jak gdyby chciała powiedzieć więcej.

„Co takiego? – pomyślał Robert. – Co chciała nam powiedzieć?” Nie było jednak czasu na rozmyślenia. Srebrny Lis znów machnął łbem i to jemu Robert musiał teraz poświęcić całą swoją uwagę. Pewnie znów trochę potrwa, zanim wierzchowiec pogodzi się ze swoim nowym zadaniem. Wymagało sporej koncentracji. Srebrny Lis nie był najlepszym koniem pociągowym i Robert najchętniej wybrałby inną formę podróży. Pocieszał się jednak, że jadąc na wozie, Clarissa szybciej dojdzie do siebie.

Rankiem zwrócił uwagę, że nadal jest bardzo wyczerpana, mimo że nic jej nie dolegało. Ten stan miał więc jakieś inne podłoże. Co tak bardzo nią wstrząsnęło? Dlaczego, jeśli już sobie przypomniwała, nie chciała o tym opowiedzieć?

Ponownie pomyślał o ostrzeżeniu Jacy’ego, choć na początku uznał je za niedorzeczne. Czy przyjaciel miał rację? Czy powinien się mieć na baczności przed tą kobietą, która z każdą chwilą była coraz bliższa jego sercu? Nie potrafił sobie nawet wyobrazić, że mogłaby stanowić dla niego jakieś zagrożenie. Wydawała się taka niewinna. Za dnia mógł dostrzec kolor jej oczu, głęboki błękit z brązowymi albo zielonkawymi refleksami. Była niewiarygodnie piękna. Przypominała mu motyla, który po raz pierwszy rozłożył skrzydła, objawiając całą swoją urodę.

Westchnął. Był człowiekiem, który raczej twardo stąpał po ziemi, oddanym swemu zawodowi i prowadzonym badaniom. Tymczasem teraz wszystko wskazywało na to, że się zadurzył. Nigdy dotąd nie doświadczył podobnych uczuć i sam nie wiedział, co o tym sądzić.

Rzucił szybkie spojrzenie w stronę Clarissy. Odkąd wyruszyli, siedziała na wozie nieruchoma i zapatrzona przed siebie. Przez dłuższy czas jechali w całkowitym milczeniu. Całą uwagę pochłaniały pokryta mokrymi liśćmi droga i krnąbrny koń. Robert często musiał zsiadać z wozu, żeby prowadzić wałacha. Co jakiś czas koła grzęzły też w podmokłym gruncie i oboje musieli pchać furmankę. Spomiędzy drzew prześwitywało błękitne niebo, a słońce było coraz wyżej. Ciepło zrobiło się tuż po wschodzie słońca, a teraz temperatura jeszcze wzrosła. Parne powietrze otulało wędrowców niczym za gruba i za ciężka kołdra. Kiedy słońce znalazło się w zenicie, Robert zatrzymał wóz w cieniu na skraju drogi. Razem z Clarissą usiedli na wozie i przymknęli oczy ze zmęczenia. Porykiwania wyjćów, tak donośne rano, teraz całkowicie ucichły. Tu i ówdzie było słycać pojedyncze ostrzegawcze dźwięki wydawane przez ptaki. Ale nie wszyscy zdecydowali się na odpoczynek. Nieopodal wozu przebiegał szlak mrówek tnących liście. Wyglądało to tak, jak gdyby zielone liście same się przemieszczały. Wśród kwiatów fruwało też kilka motyli.

Robert zamyślił się i popatrzył w głąb lasu. Przy drodze nie był tak gęsty, ale kilka kroków dalej liście, pnie drzew, krzewy i liany tworzyły razem ową nieprzeniknioną dżunglę, która za czasów jego dzieciństwa stanowiła sekret stale wiodący na pokuszenie. Później spojrział na Clarissę. Jej oddech świadczył o tym, że też nie śpi. Po chwili ociągania przywołał się do porządku. Musi spróbować dowiedzieć się czegoś więcej.

– Może wie pani przynajmniej, czy pochodzi z tej okolicy, señorita?

Clarissa otworzyła oczy, ale nie odpowiedziała. Robertowi zdawało się, że w kącikach jej ust dostrzega lekki, nieśmiały uśmiech. Nie chciał skracać dystansu. Nie zamierzał na nią naciskać, tylko...

A może to nie jego sprawa?

Clarissa usiadła. Spojrzała na niego niebieskimi oczami i powiedziała:

– Prze... przepraszam, naprawdę się staram, ale nadal nic nie pamiętam.

– Niech pani nie przeprasza. Na pewno w końcu wszystko sobie pani przypomni. – Robert starał się nadać swojemu głosowi uspokajający ton.

Przez chwilę patrzyli sobie prosto w oczy. Zrobiło mu się ciepło na sercu. Jak gdyby w ułamku sekundy dostrzegł swoje odbicie w tej drugiej osobie. Był ciekaw, czy i ona poczuła to samo. Serce zabiło mu teraz żywiej, zalewająca go fala ciepła była czymś nieznanym. To nie żar słońca ani ciepło odczuwane przy ognisku czy piecu. Tak bardzo – właśnie w tym momencie – chciał ją dotknąć, poczuć gładkość jej skóry. Z największym trudem oderwał od niej wzrok, nie chciał wypaść przed nią na prostaka.

– Ja... hm... – Zeskoczył z wozu i zaczął grzebać w bagażach. – Czy mogę zaproponować coś do picia? – Nareszcie się opanował i odważył ponownie na nią spojrzeć.

Clarissa obdarzyła go uprzejmym uśmiechem.

– Tak, dziękuję, jestem bardzo spragniona.

Gdy Robert podał jej tykwę z wodą, ich palce na chwilę się zetknęły, a on znów poczuł tamto ciepło. Cofnął rękę tak szybko, że Clarissa omal nie upuściła naczynia. Oddalił się parę kroków od wozu i chrząknął.

– Niech pani trochę odpocznie, a ja rozejrzę się za czymś, co nadaje się do zjedzenia.

Clarissa skinęła głową, obracając w dłoniach tykwę. Wszedł już pomiędzy drzewa, kiedy dobiegł go jej głos.

– Ale nie odejdzie pan daleko, señor Metzler? Zaraz pan wróci?

Zanim Robert się obejrzał, jego twarz na chwilę rozjaśnił uśmiech. Czy to znaczy, że jednak choć odrobinę mu ufa? Popatrzył na nią badawczo.

– Oczywiście, będę w pobliżu. Może się pani czuć w pełni bezpieczna.

\*

Clarissa obserwowała młodego mężczyznę, dopóki nie zniknął między drzewami. O tak, ona również dobrze знаła ten las, również w nim dorastała. Oczywiście wszystko pamiętała. Widziała uporczywe zmagania rodziców, którzy każdego dnia bronili swojego małego rancza przed nieustannie napierającą dżunglą. Tak wyglądało tutejsze życie. Walka z lasem wymagała dyscypliny.

Przypomniała sobie, jak pewnego dnia, gdy była dzieckiem i zamiast pomagać matce w ogrodzie, wołała się bawić, ojciec wziął ją na kolana i wyjaśnił, że jeśli choć jeden jedyny raz na to pozwolą, dżungla bezlitośnie zagarnie z powrotem to wszystko, co z takim trudem stworzyli.

– A jeżeli kiedyś stąd odejdziemy? – zapytała go wtedy o to, co słyszała już od innych. Kiedy ziemia się wyjaławiała, opuszczano miejsce, w którym mieszkano od lat, i szukano następnego. – Tatusiu, co będzie, gdy stąd odejdziemy?

Spojrzał na nią poważnie i ze smutkiem w oczach. Wiedziała, że odda wszystko, by tak się nie stało.

– Wtedy las też wszystko zabierze.

Przez chwilę to sobie wyobrażała. Krzewy, drzewa i wszystkie inne rośliny pokrywające ogród tak troskliwie pielęgnowany przez matkę. W wyobraźni zobaczyła też liany oplatające ich dom. Zaraz potem zeskoczyła z kolan ojca, żeby pomóc rodzicielce. Już nigdy nie musieli jej do niczego namawiać. Jednak

parę lat później odeszli stamtąd, daleko, i trafili tam, gdzie piekło przeplatało się z rajem.

Ocknęła się z zamyślenia.

„Co z rodzicami? – przemknęło jej teraz przez myśl. – Czy wszystko u nich dobrze? Czy raczej powinnam się o nich martwić?” Nie potrafiła odpowiedzieć na te pytania, dlatego była smutna i zaniepokojona.

Jakiś szelest sprawił, że odwróciła głowę, ale choć nastawiała uszu, tamten odgłos już się nie powtórzył. Co to? Czyżby nie była sama w tej głuszy? Czy byli tu jeszcze inni ludzie? Ale kto miałby się tu zapuścić?

W tych okolicach żyło tak niewiele osób, że tylko z rzadka można było się na kogoś natknąć, a zwierzęta zachowywały wystarczającą ostrożność. Należało trzymać się na dystans, choć zdawało się, że wścibskie ostronosy nic sobie z tego nie robią, i można je było spotkać na każdym kroku. A jeśli ktoś jednak ją śledził? Ale czy to możliwe? Czy ktokolwiek mógł wiedzieć, gdzie ona jest? Przecież nie odeszła jeszcze zbyt daleko...

Clarissa wyprostowała się i znów zaczęła nasłuchiwać. Ile czasu minęło? I gdzie podziewa się Rob... pan Metzler? Co zrobi, jeśli coś mu się stanie, jeśli po prostu nie wróci? Płochliwy jaguar raczej nie wskoczyłby na wóz, ale jeśli doktor Metzler wszedłby na jego terytorium? Czy wtedy go zaatakuje?

Jej dłonie zaczęły drżeć. Nie, nie może ulegać strachowi, musi coś zrobić. Jednym susem zeskoczyła z wozu i początkowo nieśmiało spojrzała w głąb dżungli. Jednak z miejsca, w którym stała, nie była w stanie nic dostrzec. Drzewa rosły gęsto jedno obok drugiego, tworząc zacienioną zieloną ścianę. Ostrożnie weszła do lasu. Pod jej stopami trzasnęła gałąź, jakiś ptak machnął skrzydłami i odleciał. Zmartwiała jak podczas gwałtownej burzy z piorunami. Liście szeleszczące pod jej stopami, konary i gałęzie,

pękające pod jej ciężarem wydawały nienaturalnie głośne dźwięki. A mimo to krok po kroku szła dalej.

Szybko uświadomiła sobie, że przedzieranie się przez dżunglę bez maczety jest niemożliwe. Nigdzie nie było też śladu Roberta. Nigdzie nie było słychać żadnych ludzkich odgłosów. Zatrzymała się niepewnie. Otaczające ją dźwięki wydawały się jej jeszcze głośniejsze i osobliwsze. Ogarnął ją strach i obudził w jej pamięci coś, o czym wołała zapomnieć. Clarissa zaczęła drzeć i trząść się jak w gorączce.

„Te straszne obrazy... Tamci mężczyźni... Ich natarczywe głosy... Nie chcę tego już nigdy oglądać. Nie chcę już tego słyszeć...”

– Clarisso... – odezwał się nagle ktoś z tyłu. – Señorita...

Odwróciła się z krzykiem, straciła przy tym równowagę i runęła prosto w ramiona Roberta. Wczepiła się w niego, a on ją podtrzymał. Z oczu popłynęły jej łzy ulgi. Mimo że nie do końca mu ufała, dobrze było poczuć, że nie jest sama.

– Ja... – wyjąkała. Próbowwała się wyswobodzić z jego objęć, ale szybko zrezygnowała. – Brakowało mi pana, señor Metzler. Tak długo pan nie wracał, więc chciałam zobaczyć...

– Nie powinienem był zostawiać pani samej na tak długo – przyznał z powagą.

– Udało się panu przynajmniej coś zebrać?

– Tak, ja...

Dopiero teraz się zorientowali, że nadal stoją objęci. Robert puścił Clarissę, a ją nagle ogarnął żal. Cokolwiek to znaczyło, w jego ramionach czuła się naprawdę bezpieczna.

\*

Dalsza podróż upłynęła w milczeniu. Oboje pograżyli się w rozmyślnościach. Noc spędzili pod gołym niebem. Poczucie bliskości, jakiego Clarissa doznała pod wpływem dotyku Roberta,



gdzieś zniknęło. Ulgę znów przegnał strach. Nie, nie mogła mu zaufać. Nie mogła.

„Już nigdy nikomu nie zaufam po tym, co się stało”.

Następnego dnia ruszyli o świcie. Robert chciał wykorzystać te poranne godziny, kiedy duchota nie była jeszcze tak dojmująca, żeby przejechać, ile tylko się da. Pod wieczór oboje ucieszyli się na widok *pulperia*, w której Robert już nocował, gdy zmierzał do chaty Jacy’ego. Tutaj mogli się przespać i uzupełnić zapasy wody oraz prowiantu.

Robert podjechał prosto pod stajnię, gdzie powierzył konia i wóz stajennemu. Wiedział, że właściciel gospody jest uczciwym człowiekiem, i był spokojny o swój dobytek.

Clarissa, która przez cały dzień wydawała się bardzo poważna, teraz nieśmiało się uśmiechnęła, ale Robert wyraźnie wyczuwał jej nieufność. Co takiego znów stanęło między nimi? Mimo wysiłków nic nie przychodziło mu do głowy.

Clarissa chyba dostrzegła jego zakłopotanie, bo nagle powiedziała:

– Musi mnie pan uważać za niezbyt uprzejmą osobę...

– Nie, w żadnym razie – pośpieszył z zapewnieniem. – Niech się pani o nic nie martwi, señorita Kramer. Z czasem pamięć wróci.

Widział, że się zawahała, więc uśmiechnął się przyjaźnie. Razem ruszyli w stronę wejścia do *pulperia*. Robert otworzył drzwi, żeby przepuścić Clarissę. „Jak na randce”, przemknęło mu przez głowę. Szybko się za to zbeształ w myślach.

## Nigdy nie zapominaj, by podążać za głosem serca

Clarissa w tragicznych okolicznościach traci męża. Zmuszona do ucieczki z rodzinnego domu trafia do ogarniętego dżumą Buenos Aires. Tam poznaje młodego lekarza, Roberta, do którego zaczyna czuć coś więcej. Czy Clarissa może pozwolić sobie na rozkwit nowego uczucia i czy uchroni się przed zemstą rodu swojego męża? Na tle argentyńskich pejzaży rozgrywa się wielowątkowa historia pełna ogromnych emocji i licznych zwrotów akcji.



***W krainie wodospadów*** to ostatni tom żywiłowo opowiedzianej trylogii z zapierającą dech dziewiętnastowieczną Argentyzną w tle. Sofia Caspari opowiada o pokoleniu kobiet, które nie bały się walczyć o swój los.

E-book dostępny na

**woblink.com**

ISBN 978-83-7515-347-7



9 788375 153477

Cena detal. 39,90 zł

